

Przebiegł ponad 500 kilometrów po górach

data aktualizacji: 2020.09.18 autor: Adam Michalski



Piotr Sędecki uważa się za sportowego narkomana, nie wyobraża sobie życia bez biegania. (fot. Pro Foto)

Ma ponad 40 maratonów w nogach, biegi górskie, ekstremalne wyzwania nie są dla niego straszne. Piotr Sędecki mimo 58 lat nie zwalnia tempa. W lipcu pokonał w 10 dni 532 kilometry głównym szlakiem beskidzkim. Jego historia pokazuje, że każdy moment jest dobry by zacząć przygodę ze sportem.

Marcowo-kwietniowe zakazy związane z koronawirusem wprowadziły w życiu biegaczy dezorientację. Poczul ją także miłośnik ekstremalnych biegowych wyzwań, skierniewiczaniec Piotr Sędecki.

– Nie wiadomo było, czy można, czy nie można biegać. Żona na mnie krzyczała, że biegam. zamknęli lasy, odkryłem nowe miejsca w polach, gdzie można pobiegać. Niestety wiele imprez zostało odwołanych, przesunięto terminy – opowiada Piotr Sędecki, który przygodę z bieganiem rozpoczął po 40.

Skierniewiczanie w czasie pandemii postanowił, że to dobry moment, by zrealizować swoje biegowe marzenie, bieg na dystansie ponad 500. kilometrów głównym szlakem beskidzkim.

– Zaczęliśmy w Wołosatym, skończyliśmy w Ustroniu. Do udziału w wyprawie zaprosiłem dwóch kolegów Michała Domostowicza ze Skierniewic i Jarka Kolasińskiego z Warszawy. Obaj bardzo chętnie wzięli udział w wyprawie. Mieliśmy plany, by zrobić to szybko, niestety w trakcie pojawiły się problemy i czas, w którym pokonaliśmy łącznie 532 kilometry wydłużył się. W Krościenku z dalszego biegu zrezygnował Michał, któremu kończył się urlop – opowiada Piotr Sędecki.

Pokonanie ekstremalnego dystansu zajęło śmiałkom 10,5 dnia. Szlak prowadził górami, od Bieszczad przez Beskid Niski i Sędecki, Gorce oraz Beskid Żywiecki i Śląski. Biegli z całym ekwipunkiem, bez namiotu, korzystali z baz noclegowych, kwater, schronisk, tych, które znajdowały się po drodze, na szlaku. Średnia dzienna wyniosła 50 kilometrów.

– Pierwszego dnia pokonaliśmy ponad 65 kilometrów, z Wołosatego do Cisnej, czyli praktycznie całe Bieszczady jednego dnia. Później średnia spadła, plan zaczął się wymykać spod kontroli. Na pewno łatwiej byłoby nam technicznie gdybyśmy mieli namioty, moglibyśmy kończyć w różnych miejscach, skazani na noclegi w schroniskach, czy prywatnych kwaterach byliśmy ograniczeni – opowiada.

Skierniewiczanie na trasę wyruszył w sobotę (4.07) rano, na metę w Ustroniu dotarł we wtorek (14.07). Biegli wspólnie. – W grupie biegać się lepiej. Przez ten czas kiedy Michał był z nami to on szedł do przodu i organizował kwaterę. Wcześniej nie rezerwowaliśmy nic, gdyż nie wiedzieliśmy jak się wszystko potoczy na trasie – zaznacza.

Piotr Sędecki bieg ukończył sam. – Jarek Skończył następnego dnia (15.07). Przed startem umówiliśmy się, że w razie jakiś problemów nie musimy kończyć razem. Rozstaliśmy się w schronisku Markowe Szczawiny. Byliśmy tam w południe i Jarek nie chciał iść dalej. Mnie było szkoda reszty dnia i skończyłem na Hali Miziowej. Po drodze jeszcze zboczyłem ze szlaku i wziąłem udział w wyborach prezydenckich w Korbielowie – opowiada.

W ciągu 10 dni los był dla biegaczy łaskawy, były także gorsze momenty. Pęcherze, fioletowe paznokcie, problemy ze stopami.

– W takich warunkach atrakcje są wpisane w bieg – twierdzi. Zmęczenie nakładało się z dnia na dzień, był także moment kryzysu.

– Oczywiście miałem chwile zwątpienia, byłem nawet gotów wrócić z Michałem. Ale okazało się, że stan moich pięt się poprawił i stwierdziłem, że jeśli zejść z trasy, to będę miał do siebie żal. Myślę, że psychicznie nie byłbym w stanie zacząć wyzwania jeszcze raz wiedząc co mnie będzie czekać – mówi.

Przed Piotrem Sędeckim kolejne wyzwanie. W listopadzie odbędzie się bieg na dystansie 102 kilometrów, którego jest pomysłodawcą. O poczynaniach biegacza będziemy informować na łamach "Głosu Skierniewic i Okolicy" oraz na eglos.pl